

John Morressy

Błazen

(Fool)

Przełożyła Magdalena Belcik

S&C

Exlibris

Nadchodzi Niccolo! Na okrzyk ten uczestnicy libacji, napchani jedzeniem i zalani w sztok, przerywają obżarstwo i opilstwo. Zapominają o swych podsyconych żądzach i ryczą z zachwytem, gdy wtaczam się do środka, biegam z jednego końca komnaty na drugi, krążę pośród gości, aby każdy mógł dokładnie obejrzeć moją postać, moją twarz i mój koślawy chód. Błazen Niccolo to gwóźdź programu każdej uczyty.

Radosne piski mieszają się z okrzykami zgrozy i obrzydzenia. Co wrażliwsi wzdrygają się na mój widok i odwracają wzrok. Bywa, że na mój widok kobiety mdleją; mężczyźni zresztą, ku uciesze swych towarzyszy, też.

Tak mnie witają, ja zaś się tym chlubię. Jestem błaznem, mistrzem w swym fachu.

Gdybym urodził się odrobinę mniej kaleki, tylko nieco mniej zdeformowany, akuszerka zatroszczyłaby się o to, żebym nie przeżył porodu. Ale zostałem wyrwany z łona tak idealnie szpetny, tak odrażający, że podniosła mnie za moje krzywe nożyny i zawołała:

– Toż to żyła złota!

Stara wiedziała, jak kręci się ten świat. Rozumiała, że wielu mogłoby sownie zapłacić za błazna, który wygląda jak należy. Nie potrzebowałem żadnego wypadku ani szpecącej choroby. Urodziłem się tak zdeformowany, że mogłem budzić tylko wstręt albo szydery śmiech. Byłem obrazą nie tylko dla oka, lecz także dla ucha. Kiedy wydałem z siebie pierwszy krzyk, wszyscy wokół skrzywili się, zatkali uszy i oświadczyli, że sam diabeł musiał wetknąć nochal do naszego obscurnego domu, ogłaszając moje narodziny. I niewykluczone, że tak właśnie było. Niewykluczone.

Rodzice nie podzielali zdania akuszerki co do mojej wartości. Czy byli tak biedni, czy po prostu nie chcieli dłużej oglądać szpetnego kaleki? Tego nie wiem. Sprzedali mnie, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, nie za złoto bynajmniej, ani nawet srebro, ale za miedziaki, a w dodatku skromną ich garść. Nigdy już nie zobaczyłem rodziny – jestem pewien, że odetchnęli z ulgą.

Od tamtej pory moja wartość znacznie wzrosła. Wyzlifowałem naturalne talenty i opanowałem szereg przydatnych umiejętności. Teraz jestem dobrze wynagradzany. Nie zawsze płacą mi za rozśmieszanie.

Z mych wczesnych lat niewiele pamiętam prócz bicia. Razy były wymierzane jako wskazówka dotycząca odpowiedniego zachowania oraz pomoc w nauce, a dostawałem je z większą regularnością niż posiłki. Mój wygląd i niezdarność sprawiały, że byłem wdzięcznym obiektem poniżeń w domu mojego pierwszego pana, w którym zajmowałem pozycję gorszą od najpodlejszego sługi. Bicie skończyło się dopiero wówczas, gdy zostałem sprzedany do domu biskupa.

Dobry biskup był wstrząśnięty, kiedy usłyszał, że nie zostałem ochrzczony, a wprost się przeraził, kiedy wyjawilem mu powód. Moi rodzice to prości, bogobojni ludzie, którzy wierzą w niebo wiecznego piękna i spokoju.

Wyjaśnili mojemu poprzedniemu panu, przyjmując jego miedziaki, że nie może tam być miejsca dla takiego potwora jak ja, toteż nigdy nie zanieśli mnie do chrztu.

A może bali się, że skażę święconą wodę?

Wszedłem do pałacu biskupa w dniu świętego Mikołaja, więc ochrzczono mnie imieniem tego patrona. Biskup był człkiem pobożnym, surowym w stosunku do siebie, ale życzliwym dla innych, za dobrym jak na ten

parszywy świat, po którym błądzimy po omacku. Wybawił mnie od okrutnego pana i usiłował nauczyć innego sposobu życia. W biskupiej rezydencji nie byłem zwierzęciem, które biciem zmusza się do uległości, zaharowuje na śmierć, a potem wyrzuca na gnojowisko. Dla biskupa moja zewnętrzna postać nie miała znaczenia. Nie byłem jego własnością, ale bratem w Chrystusie, dzieckiem bożym, którego dusza może zostać zbawiona. Myślę, że poczciwiec dostrzegł nawet we mnie jakieś piękno – od tamtej pory wyczyn ten powtórzyła tylko jedna osoba, a do tego szalona. Ja sam nigdy nie próbowałem.

W pałacu biskupa dowiedziałem się, że słowo „Bóg” wypowiada się z czcią, nie zaś w gniewie. Nauczyłem się czytać i pisać, a także tego, jak zachowywać się w towarzystwie lepszych od siebie. W pałacu mieszkało się dużo bardziej komfortowo niż na podwórzu, a ja starałem się być wzorowym uczniem. Dobry biskup nauczył mnie prawd wiary i udzielał nauk moralnych. Chociaż przezornie podawałem wymagane odpowiedzi i okazywałem w jego obecności pobożność, jakiej oczekiwał, moje postępy w tych dziedzinach były skromne.

Ogólnie biorąc, biskup zrobił, co mógł, żeby przygotować mnie do życia w przyszłym świecie. Mnie jednak wcale się nie spieszyło, żeby opuścić doczesny, nie zaznając oferowanych przez niego atrakcji. W pałacu, oprócz ludzi uczonych i pobożnych, mieszkali tacy, którzy z niejednego pieca chleb jedli. Złodzieje, prostytutki i mordercy. Biskup zdawał sobie sprawę z grzechów ich przeszłości, ale wierzył, że są oddani skrusze i pokucie. I tu się mylił.

Widział ludzi takich, jacy mogliby być. Ja widziałem ich takich, jacy byli. Złodzieje, prostytutki i mordercy także zostali moimi nauczycielami i

dobrze mnie przygotowali do życia po tej stronie grobu. Nauczyłem się od nich, że zawsze jest czas na skruchę, jeżeli przyjdzie nam na nią ochota, ale nasz czas na przyjemności i zysk jest krótki. Należy dobrze wykorzystywać swoje talenty, a jeśli okazje nie nadarzą się same, trzeba je stworzyć.

Z przypadkowej uwagi jednego ze złodziei po raz pierwszy dowiedziałem się o głęboko ukrytej pod pałacem komnacie, krypcie o ścianach wyłożonych ołowiem, szczelnie zamkniętej i przywalonej gruzem. Istniał do niej tylko jeden klucz, a miał go biskup. Próbowałem wydobyć od owego złodzieja jakieś szczegóły, ale nie chciał powiedzieć nic więcej. Wiedziałem, że jest to człowiek śmiały, lecz kiedy pytałem, odpowiadał niepewnie i wymijająco. W końcu zapewnił mnie, że była to tylko głupia bajka, i kazał o tajnej komnacie zapomnieć.

To pobudziło moją ciekawość. Nikt inny w tym domu nie wspominał nigdy o tej komnacie. Dopiero od pewnego starego sługi, a i to po wielu godzinach starań, wyciągnąłem opis jej zawartości.

Na długo przed nastaniem biskupa w krypcie składowano straszliwe księgi, księgi tak przesiąknięte złem, że żadna ludzka siła nie mogła ich zniszczyć. Zakopane skazyłyby ziemię, wrzucone do morza zatrąłyby wodę, gdyby je spalono, dym zabiłby każde żywe stworzenie. To wszystko wyjawiał mi trwożnym szeptem ów stary sługa.

Uznałem, że dobrze będzie okazać niedowierzanie, a nawet wyśmiać jego historyjkę. Ale tak naprawdę zaczęła mnie prześladować myśl o ukrytej w podziemiach złowrogiej mocy.

Pod opieką biskupa nauczyłem się czytać nie gorzej niż dworski urzędnik. Teraz mogłem tę umiejętność wykorzystać. Owładnęło mną pragnienie

odnalezienia komnaty, trzymania w rękach tych zakazanych ksiązek i czerpania z ich mądrości.

Nikommu nie wyjawilem mych zamiarów. Wiedzialem, ze musze byc ostrozny i cierplivy. Dobrze znalem piwnice palacu, totez po dlugich, skrupulatnych poszukiwaniach udalo mi sie zlokalizowac krypte. Dla niepodejrzewajacego widza bylaby to tylko sterta gruzu zrzuciona przy scianie, lecz gdy zaczalem kopac, odslonily sie zamkniete zelazne, lodowate w dotyku drzwi. Tajna komnata istniala.

Tak czy inaczej musialem poczekać na sprzyjajacy moment. Ulozyłem stertę gruzu z powrotem i czekalem. Obserwowalem biskupa uwaznie. W koncu wypatrzyłem, gdzie chowa klucz. Ktororej nocy, kiedy caly dom juz spal, zszedłem do krypty.

Od razu ogarnęło mnie martwe, przejmujace zimno i niemal dalem sie ponieść fali strachu. Ale nie mogłem sie cofnac, nie w owej chwili, gdy juz znalazłem zakazane woluminy. Drzacą ręką podniosłem latarnię i przejrzałem półki. Wiekowe tomiszczka wyszeptywaly obietnice niewyobrazalnej mocy.

Zobaczyłem ksiazki i zwoje najrozniejszych ksztaltów i rozmiarów. Byla ich ponad setka. Niektore ksiazki oprawione w zloto i wysadzane drogimi kamieniami, inne w proste skorzane okladki bez zadnych ozdób. Niektore, jak sardze, oprawiono w ludzka skóre. Zwoje rowniez rozniły sie wielkoscia, od cienkich jak palec po grube niczym męskie ramie.

Wszystko to dostrzegłem w duzym pośpiechu. Wiedzialem, ze trzeba dzialac szybko. Czas naglił, a z mojej odwagi niewiele juz pozostaló.

Moze nigdy nie nadarzy sie okazja na druga wizyte, nawet gdybym sie osmielil. W pomieszczeniu zrobilo sie jeszcze chłodniej, zimno zdusilo

mój zapal i spotęgowało strach. Chciałem wziąć tylko kilka tomów i ukryć w miejscu, gdzie mógłbym je studiować w wolnych chwilach.

Ale wiele okazało się dla mnie za ciężkich, inne były zamknięte na misterne zamki lub napisane w językach, których nie znałem. Kilka pierzchno przed moją dłonią jak żywe. Umierałem z przerażenia.

Porwałem jeden zwój i w panice uciekłem z komnaty.

Nigdy już nie zaznałem takiego strachu, jaki czułem tamtej nocy. Zlany zimnym potem, drżący, z walącym sercem, skuliłem się w odległym kącie piwnicy, póki nie doszedłem do siebie. I wówczas raptem poczułem zmianę. Cały strach odszedł ode mnie na zawsze, jakby wypalony we mnie przez to zimno. Już nigdy nie będę się bał niczego na tym świecie. Nadal wyczuwałem strach innych, lecz sam już go nie doświadczałem.

Ośmielony, wróciłem, żeby zamknąć kryptę i na powrót osłonić wejście gruzem. A potem, już w mojej komnacie, padłem z wyczerpania.

Kiedy przeczytałem zwój, przekonałem się, że dokonałem dobrego wyboru. Zawierał zaklęcie, którego mogłem użyć trzykrotnie do zniszczenia moich wrogów.

Gdybym został w pałacu biskupa, mógłbym jeszcze raz odwiedzić kryptę i nauczyć się dużo więcej, ale jak wielu dobrych ludzi, biskup umarł w kwiecie wieku, jego zdrowie bowiem wyniszczyły lata poświęceń i wyrzeczeń. Nowy biskup okazał się zupełnie inny. Wielu spośród domowników uznał za osoby nieodpowiednie, w tym mnie. Gdy opuszczałem pałac, nie zabrałem ze sobą zwoju. Jego treść miałem utrwaloną w pamięci. Czy zaczął już zatruwać ziemię w miejscu, gdzie był schowany, nie wiem i nie chcę wiedzieć. Ja nauczyłem się wystarczająco wiele.

Stary biskup napominał mnie wiele razy, żeby o zmarłych mówić wyłącznie dobrze. Nalegał też, żebym mówił prawdę. Mam więc dylemat, co powiedzieć o moim kolejnym panu, bogatym kupcu. Był fałszywy wobec Boga i ludzi, okrutny bez powodu, a teraz jest martwy.

Umarł w okolicznościach tajemniczych, przerażających. Był to pierwszy test mojej wiedzy nabytej w krypcie; być może marnotrawstwo mocy – zaklęcie mogło być użyte już tylko dwa razy – ale też krzepiący dowód jego skuteczności.

Pan miał zwyczaj zamykania drzwi swej sypialni przed złodziejami i wrogami. Jego strażnik, olbrzymi niemowa o imieniu Orso, który potrafił zabić człowieka jednym ciosem, spał zawsze u progu. W noc śmierci pana cały dom obudziły jego przejmujące krzyki i odgłosy gwałtownej walki. Z pokoju dobiegł inny głos, wszyscy zgodnie twierdzili, że przerażający, chociaż nikt nie rozumiał żadnych słów. Drzwi nie sposób było otworzyć. O świcie jednak otworzyły się szeroko, a ci, którzy weszli do środka, ujrzeli odrażający widok. Ściany i podłoga we krwi, pan rozszarpany, jakby rozdarty szponami ogromnego zwierzęcia. Jego szeroko otwarte martwe oczy przepełniała groza.

Byłem zadowolony. Znałem już moc zaklęcia. Zostały mi jeszcze dwa. Postanowiłem używać ich z rozwagą.

Opisuję to, co mi opowiedziano – nie byłem obecny przy śmierci pana. Wszystko dokładnie zaplanowałem. Zdarzyło się to w noc, kiedy razem z dwoma innymi sługami zostaliśmy wysłani w jakiejś ważnej sprawie. Nikt nigdy nie podejrzewał mnie o udział w śmierci tego kupca.

Nagle odejście pana wywołało w domu wielkie zamieszanie. Ja i jeszcze jeden sługa, Giulio, wykorzystaliśmy okazję, żeby napełnić sobie

kieszenie, i ruszyliśmy w drogę.

* * *

W mojej edukacji nastąpił zwrot. Wiedziałem już, jak trudne jest życie kogoś, kogo inni uważają za łakomy kąsek. Miałem w rękach potężne narzędzie obrony, ale nie mogłem go używać nazbyt pochopnie.

Nauczyłem się teraz prostszych sposobów, dzięki którym kaleka bez opiekuna może dorównać silnym.

Giulio i ja żyliśmy przez jakiś czas z dukatów naszego zmarłego pana, a kiedy się skończyły – z kradzieży. Mogliśmy wieść takie życie dopóty, dopóki by nas nie powiesili, ale nieszczęsny chłopak miał gorący temperament. Zginął w bezsensownej bójce, a razem z nim dwóch innych, w tym jeden aktor z wędrownego teatru. Była to moja szansa. Następnego dnia dołączyłem do trupy.

U biskupa uczyłem się retoryki, logiki i ćwiczyłem pamięć. Miałem łatwość dysputy i ostry język. Teraz nauczyłem się żonglować i liznąłem trochę akrobatyki. Mój talent rozwijał się w miarę ćwiczeń, interesy zespołu kwitły. Nie miałem co skarżyć się na los. Nie było potrzeby wzywania sił ciemności. Umiałem posługiwać się bronią i zawsze mogłem liczyć na pomoc towarzyszy. Miałem pełną sakiewkę, płaciłem za mięso i wino. Płaciłem też kobietom, które traktowały mnie jak każdego innego mężczyznę. Ale świat miał do zaoferowania więcej, a ja zamierzałem zdobyć to, co mi się od niego należało.

Pewnej nocy w tawernie, która przyjmuje aktorów i każe im słono płacić za przywilej napicia się kiepskiego wina i skosztowania jeszcze gorszego

jedzenia, wdał się w rozmowę ze mną elegancko, lecz ponuro odziany człowiek. Miałem się na baczności, jak należy czynić wobec nieznajomych, zwłaszcza jeżeli gołym okiem widać, iż należą do towarzystwa lepszego niż nasze; ale on był zadbany i wymowny, a przy tym lekką ręką wydawał pieniądze. Wyczuwałem, że warto go wysłuchać. Na początku wymieniliśmy zdawkowe uwagi, a ponieważ wiem, że ludzie nie rozmawiają ze mną z życzliwości czy współczucia, czekałem niecierpliwie, aż poruszy temat, który go do mnie sprowadził. W końcu zapytał:

– Odpowiada ci życie w podróży?

– Nie mam wyboru – odparłem.

– W dużym domu żyje się wygodniej i przyjemniej.

– Zapewne. W ogóle lepiej jest być bogatym niż biednym. – Uśmiechnął się i przytaknął, a ja ciągnąłem dalej: – Lecz który dom przygarnąłby mnie, panie? Dobry człowiek przeżegna się na mój widok, a kobieta poroni. Kiedy doglądam zwierząt, marnieją w oczach. Wystarczy mnie wpuścić do kuchni, a mleko kwaśnieje. Znajdę się w pobliżu ognia, a płomienie stają się niebieskie i zioną siarką. Znam żarty, które o mnie krążą, panie, możecie mi ich oszczędzić. Zrobił uspokajający gest dłońmi.

– Nie żartuję. Mam propozycję.

– Słucham.

– Możesz zostać błaznem jakiegoś pana. Posiadasz wszelkie niezbędne kwalifikacje.

– Jesteście bardzo mili. Ja nic nie muszę robić, żeby mieli mnie za błazna.

– To motłoch – odpowiedział. – Rzucą ci parę groszy, a potem jeszcze tego żałują. Marnujesz tu swój talent. Błazen wielkiego pana je dobrze i śpi w

miękkiej pościeli. Nie chodzi w byle czym. Może czuć się bezpiecznie. Taki pan hojnie cię wynagrodzi, jeżeli będzie z ciebie zadowolony.

– A gdzie szukać takiego dobroczyńcy?

Uśmiechnął się nieznacznie, ale z zadowoleniem, jak ktoś, kto zna rozwiązanie dziecinnej zagadki.

– W palazzo jakieś pół godziny drogi stąd, na głównym placu. Błazen mojego pana zginął po kłótni ze sługami, więc teraz szukają nowego.

– Nie zamierzam dać się zadźgać jakiemuś narwanemu kuchcikowi – odparłem.

– Hrabia Ridolfo to prawy człowiek. Ukarał mordercę, taka sytuacja już się nie powtórzy – rzekł nieznajomy.

– Ale co ja z tego będę miał?

– Wylej swego sikacza i spróbuj mojego wina. – Podsunął mi oprawioną w skórę butelkę, z której popijał.

Wylałem zawartość kielicha na podłogę i nalałem sobie z jego butelki.

Wino było lepsze niż najwyborniejsze trunki z piwnicy biskupa.

– Słudzy hrabiego piją je przy posiłkach. Jedzą równie dobrze – oświadczył.

– Śpią w miękkiej pościeli i nic nie kapie im na głowę. Czyżby nosili jedwabie i futra?

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów w moim sfatygowanym, niby to eleganckim stroju.

– Ich liberia robi lepsze wrażenie niż twoja, no i jest dużo czystsza.

– Czemuż to proponujecie mi, panie, takie cuda? Jesteście moim aniołem stróżem? Świętym patronem?

– Aniołem nie, świętym tym bardziej – odparł z uśmiechem. – Jestem

attore hrabiego Ridolfo. Dbam o to, żeby wszystko w domu było tak, jak należy. Straciliśmy błazna. Widziałem cię podczas przedstawienia i uznałem, że byłbyś świetnym zastępcą. Przyjdź rano do palazzo i powiedz, że zaprosił cię Benedetto.

Od dawna wiedziałem, że nikomu nie należy ufać, lecz tamtej nocy poważnie zastanowiłem się nad jego propozycją. Moja tajemna wiedza była przydatna, ale niebezpieczna; marzył mi się spokój dużego domostwa. Byłem zmęczony podróżami, ciągłymi kłótniami aktorów, wyłudzeniem drobnych od wieśniaków prawie tak brzydkich jak ja i głupich jak osły. Życie błazna potężnego człowieka nie mogło wyglądać gorzej. I tak odkryłem swoje nowe powołanie.

Kiedy następnego ranka szedłem do palazzo hrabiego Ridolfo, towarzyszyły mi zwykle szyderstwa włóczących się po ulicach młodych próżniaków. Widzieli, że jestem uzbrojony, i tylko to trzymało ich w bezpiecznej odległości. Imię Benedetta otworzyło mi drzwi palazzo, a on sam dopilnował, żeby sprawnie włączyć mnie w życie domu. Do zmierzchu zdążyłem już poznać większość służby.

Tylko jeden incydent zepsuł mi pierwszy dzień, ale szybko obróciłem to na swoją korzyść. Gdy przedstawiano mnie służbie, czerwony na twarzy, krzykliwy typ, który na pierwszy rzut oka wyglądał na jednego z tych, co to lubią od razu pokazać nowemu, gdzie jego miejsce, podniósł na mnie wzrok i powiedział do swoich towarzyszy:

– To dopiero piękniś! Jak by go tu nazwać? Może ochrzcimy go Malfatto, co? – Nikt nie zaprotestował, a on podniósł kielich i burknął: – Chodź no tu, Malfatto, zostanie ci nadane nowe imię.

Śmiałem się razem z innymi, idąc w jego stronę i wyciągając dłoń w

przyjacielskim gościu. Śmiech ucichł, kiedy chwyciłem go za rękę i wykręciłem tak, że spadł z krzesła na podłogę, jęcząc głośno.

Pozwoliłem mu przez jakiś czas błagać o litość, po czym nachyliłem się do jego ucha i szepnąłem:

– Mam na imię Niccolo. Powiesz to wszystkim. Jeśli jeszcze raz usłyszę, jak mówisz „Malfatto”, będzie to twoje ostatnie słowo.

Wymierzyłem gburowi kopniaka w żebra, żeby dobrze zapamiętał, co powiedziałem, i pomogłem mu wstać. Pozdrowił mnie moim imieniem. Incydent wywołał zamierzony efekt wśród reszty służby. Na swoje nieszczęście ów gbur postanowił dokuczać mi na inne sposoby. Mogłem się go pozbyć za pomocą zaklęcia, ale nie było to konieczne – spadł z wieży dzwonnicy.

Jeszcze przed końcem pierwszego tygodnia zdjęto ze mnie miarę na liberię. Wkrótce miałem na sobie najprzedniejsze ubranie, jakie kiedykolwiek nosiłem, z wyśmienitego materiału, idealnie dopasowane do mojej figury. Przez cały miesiąc byłem zajęty poznawaniem panujących w domu zwyczajów, aż w końcu dopuszczono mnie do hrabiego Ridolfo.

W tym czasie w palazzo panowała ciągła krzątanina, na obliczach wszystkich członków rodziny znać było powagę i zmęczenie, służba zaś spekulowała na temat powodów tego napięcia. Krążyło mnóstwo plotek. Ponieważ byłem nowy, wiedziałem najmniej; czekałem więc, starałem się być miły dla każdego, kogo poznałem – można się tego nauczyć – i wkrótce stało się dla mnie jasne, co jest przyczyną tego poruszenia.

Wiedziano z wiarygodnego źródła, że pewna rodzina planuje atak na hrabiego i jego synów. Nie usłyszałem nic więcej, ale niespecjalnie mi na tym zależało. Lepiej niech błazen gra błazna, póki nie nadejdzie właściwy

moment.

Pewnego razu późno w nocy wezwano mnie do prywatnej komnaty hrabiego Ridolfo. Było tam jeszcze czterech mężczyzn, wśród których rozpoznałem jego dwóch synów. Zobaczyłem wtedy mojego pana po raz pierwszy i wydał mi się imponujący.

Miał wielką lwią głowę o grzywie białych włosów, twarz kwadratową, wąskie usta i wydatną szczękę. Jego nos był kiedyś złamany i nieudolnie nastawiony, prawy policzek zaś przecinała wąska blizna. Ta twarz, zimna i twarda jak kamień, była cichym ostrzeżeniem. Był to człowiek, którego zwykli ludzie się boją, i nie bez powodu. Mógł się okazać bardzo przydatny.

Kazał mi się zbliżyć, dając znak, żebym się zatrzymał w odległości kilku kroków od niego. Hrabia Ridolfo na wszelki wypadek nikogo do siebie nie dopuszczał, po tym jak jego kuzyn zafundował mu bliznę na policzku.

Obszedł mnie dookoła, jak człowiek studiujący dzieło sztuki.

– Więc to ty jesteś moim błaznem.

– Nie, panie, jestem waszym dobrym aniołem – odparłem, kłaniając się i robiąc swoją najohydniejszą minę.

Nie uśmiechnął się.

– Błazen i do tego kłamca. W tym mieście zbijesz fortunę.

Jeden z mężczyzn, który stał z boku, wbił wzrok w podłogę. Nikt nic nie mówił ani nie patrzył na innych. Czułem w tej komnacie strach i wiedziałem dobrze, co powinienem zrobić.

– Poradź mi, błaznie – ozwał się hrabia. – Twoja rada nie będzie gorsza od tych, których wysłuchałem. Moi wrogowie knują zamach na mnie i moich synów. Wiem, kto jest zaangażowany w ten spisek. Co mam zrobić?

– Zachować się jak mężczyzna. Zabić ich, a potem niech się rozniesie wieść, że zginęli z waszej ręki – odparłem.

– Mam jakiś inny wybór?

– Owszem. Poczekać, a wtedy w domu będzie dwóch błaznów.

Milczał przez chwilę.

– Mocne słowa – powiedział wreszcie. W jego głosie nie było znac gniewu.

Rozłożyłem ramiona, prezentując moją liberię.

– Należę do wielkiego domu, a nie do babskiego klasztoru. Miałbym mówić łagodnie i doradzać potulność?

Synowie hrabiego wymienili spojrzenia pełne aprobaty. Jeden z pozostałych mężczyzn pokiwał głową. Czwarty rzucił mi szybkie, nienawistne spojrzenie.

– Niektórzy członkowie wielkiego rodu tak by uczynili – odpowiedział hrabia. – Powiedz, czy to nie błazeństwo słuchać rad błazna?

– Czasem błazeństwem jest słuchać mędrca, innym razem mądrze jest usłuchać błazna. To zależy od mędrca, błazna i rady, panie.

Patrzył na mnie długo z namysłem i rzekł:

– Zabawisz nas jutro podczas wieczerzy. A teraz idź, zanim popsujesz nam apetyt.

Wycofałem się, bijąc pokłony z przesadnym uniżeniem. Wezwano mnie, żeby kogoś upokorzyć, to było jasne, a zatem miałem już w tym domu wroga. Liczyłem na to, że naraziłem się właściwej osobie. Dobry wróg może być tak samo przydatny, jak tuzin przyjaciół. Zmusza do czujności. Jak to często bywa, mój wróg ani mi nie zaszkodził, ani nie pomógł. Od owej nocy nie widziano go już w palazzo.

Hrabia Ridolfo miał poważny stosunek do życia. Nawet najbardziej groteskowe wygłupy nie wystarczały, żeby wywołać uśmiech na jego zimnym obliczu. Kiwał głową z aprobatą, patrząc na moją zonglerkę i akrobacje, ale sam nie inicjował żadnych żartów. Jak dla niego, mogłem być niemową. Łatwiej przychodziło mi zabawić jego synów. Andrea, najstarszy, naśladował ojca. Rzadko się uśmiechał, ale często po jakimś złośliwym komentarzu mrucał: „Dobre, dobre”. Młodszy śmiał się z moich sztuczek, a kiedy hrabia wychodził, zabawiałem ich Świntuszeniem. Przy hrabim ani przy damach nic podobnego nie mogło mieć miejsca.

Hrabina spędzała cały dzień na modłach. Podejrzewam, że modliła się też podczas snu.

Maddalena, najmłodsze dziecko i jedyna córka, była oczkiem w głowie całej rodziny. Wszystkie charakterystyczne rodzinne cechy były w niej wyszlachetnione i łagodniejsze. Często się uśmiechała i chociaż skończyła już piętnaście lat, ciągle reagowała z dziecięcym entuzjazmem i uczuciem. Hojnie obdarowywała miłością wszystkich, a także koty, psa, małpkę, ptaki, które siadały na jej oknie i jadły z ręki. Od naszego pierwszego spotkania potrafiła na mnie patrzeć bez obrzydzenia. Podobały jej się moje piosenki i opowieści o miłości i rycerzach, a kiedy miałem ochotę wieczorem zabawić służbę, stawała czasem na progu kuchni i słuchała z uwagą jak głupie kuchty.

Co rano chodziła na mszę razem z braćmi i paroma sługami. Czasami im towarzyszyłem. Kiedy bracia gapili się na damy i wymieniali z przyjaciółmi szczegóły ostatniej nocnej eskapady, Maddalena klękała z opuszczoną głową, modląc się za nas wszystkich. Gdy tylko opuszczaliśmy chłodne, odpowiadające echem wnętrze kościoła, stawała

się znowu beztroską panienką. Była aniołem, ale ludzkim, absolutnie ludzkim.

Na wiosnę miała wyjść za mąż za syna jednego z największych rodów. Jak w przypadku wszystkich małżeństw wśród możnych i bogatych, był to przede wszystkim sojusz, długo przemyślany i zawarty skrupulatnie, tak jak wielkie potęgi podpisują traktaty. Nie było to w końcu nic innego.

Rodzina narzeczonego, właściciele ziemscy i bankierzy, byli bogatsi niż hrabia Ridolfo, ale ustępowali mu pod względem pozycji i wpływów. Mój pan trzy razy był priorem; jego brat był wybrany do Signorii i był jednym z Dwunastu.

Jacopo, jej narzeczony, wysoki i zgrabny, o regularnych rysach i kręconych, opadających na ramiona kasztanowych włosach, stanowił ideał młodzieńca. Miał miły dla ucha głos. Uśmiechał się łatwo i często, a jego dowcip wywoływał śmiech w każdym towarzystwie. Bawiła mnie myśl, że Stwórca, wprowadziwszy mnie do tego domu, chciał teraz przywrócić równowagę w naszym małym wszechświecie, dodając moje przeciwieństwo – przynajmniej pod względem wyglądu.

Maddalena była swym pięknym narzeczonym zauroczona. Świergotała i pojękiwała, wzdychała, rozpamiętując jego uśmiech, jego głos, jego włosy i oczy, powtarzała jego najbardziej zdawkowe uprzejmości, jakby to było Pismo Święte, recytowała do znudzenia nieporadne wiersze, które jej przysyłał, aż cały dom znał je na pamięć. Potrafiła zmęczyć każdego swoim nieustannym zachwytem nad Jacopo.

Posłusznie jej przytakiwałem, nie przekraczając jednak pewnych granic: nie zamierzałem chwalić jego oczu. Ostrzegały o przyszłym niebezpieczeństwie. Czaił się w nich głód. Ten młodzieniec wdziękiem

mógł zdobyć wszystko, czego tylko zapragnął, bądź, gdyby to nie wystarczyło, mógł kupić sobie to, czego nie mógł po prostu wziąć. Miał chciwe spojrzenie wieśniaka, który pragnie jakiejś rzeczy tylko dlatego, że ta rzecz istnieje, że ktoś inny się nią cieszy, wyłącznie dlatego, że nie jest jego własnością.

Sprawiłbym Jacopo odpowiedniejszy herb rodowy niż ten, którym się szczycił. Na czarnym polu czerwona rozdziawiona gęba i dwie wyciągnięte ręce, jako motto trzy razy powtórzone słowo desidero. Jacopo miał twarz anioła i duszę pazernej małpy.

Nie brałem udziału w przygotowaniach do ślubu. Wysłano mnie na jakiś czas do hrabiego Sigonio, przyjaciela mojego pana, który akurat potrzebował błazna. Podejrzewam też, że obie rodziny mogły się obawiać, że sam mój widok na ślubie wystarczy, by pierwsze dziecko urodziło się poczwarą.

Spotkałem kiedyś błazna hrabiego Sigonio, pociesznego karła. Znany był jako Fratellino z uwagi na swój zwyczaj noszenia miniaturowego habitu mnicha i wygłaszania bluźnierczych kazań ku ucieście towarzystwa. Był utalentowanym parodystą, umiał bezbłędnie małpować zachowanie i mowę każdego, z kim się zetknął, ku zachwytowi widzów. Niestety, nie każdy doceniał jego dar. Znaleziono Fratellino któregoś ranka nad rzeką. Mówiło się, że pijany spadł z mostu i utonął. Można w to wierzyć lub nie. U hrabiego Sigonio ograniczyłem swoje kpiny do własnego wyglądu, byłem chwalony i sownie wynagradzany. Miałem też oczy i uszy otwarte, toteż zaniósłem mojemu panu przydatne informacje.

Wrogowie hrabiego Ridolfo, rodzina Forzów, zostali zaproszeni na ślub Maddaleny i ofiarowali młodej parze bogato zdobioną złoto-srebrną misę,

dzieło jednego z najlepszych rzemieślników w mieście. Nie porzucili planów zamordowania hrabiego i jego synów, jedynie odłożyli je na bardziej sprzyjający moment, tymczasem udawali przyjaźń. Mój pan odpowiadał im tym samym, grając rolę uprzejmego gospodarza, wdzięcznego rodzica, przyjaciela; dla nich – naiwnego głupca. Wyczekiwał. Miał własne plany, a w ich realizacji mogłem mu się przysłużyć.

Było jasne, że dla bezpieczeństwa i fortuny mojego pana i jego rodziny Forzowie musieli zginąć. Ale pozbycie się ich nie rozwiązywało problemu innych, równie potężnych wrogów. Dla mnie istniało jedno wyjście z tej sytuacji, chociaż nie przyszło ono do głowy innym; a nawet jeśli przyszło, nie mieli odwagi go zaproponować. Miałem szczęście dysponować środkiem, którym inni nie mogli się pochwalić, był więc to dogodny moment, żeby zrobić z niego użytek.

Mogłem teraz łatwo dostać się do hrabiego Ridolfo, więc kiedy chwila wydała mi się sprzyjająca, dałem mu do zrozumienia, że dobrze byłoby pozbyć się jak największej liczby wrogów za jednym zamachem. Po tej propozycji na jego kamiennej twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

– Co radzi mój błazen? – zapytał.

Spojrzałem na innych obecnych w komnacie i powiedziałem:

– Po pierwsze, dyskrecję.

Kazał wyjść wszystkim prócz Andrei – opuścili komnatę bez słowa.

– Nie masz zaufania do nikogo – stwierdził, kiedy drzwi zamknęły się za ostatnią osobą.

– Najlepszą bronią jest ostrożność – odparłem.

– Co radzisz?

– Wielki bankiet, rodzina Forzów jako goście honorowi. Musi się odbyć w następny poniedziałek.

– Dlaczego akurat wtedy?

– Bo dwa dni później wieczierają w towarzystwie swoich przyjaciół i sojuszników, Datic.

Hrabia i jego syn wymienili krótkie spojrzenia. Nie wiedzieli o tym sojuszu.

Szybko ciągnąłem dalej:

– Tej nocy Forzowie umrą, zanim wrócą do siebie, a wszyscy powiedzą, że zostali otruci przez podstępnych Datic. Dati zostaną ukarani za swoją zbrodnię. Dopilnujcie tego. Pozbędziecie się, panie, jednych i drugich.

– Potrafisz to sprawić? – spytał Hrabia.

– Zostaną otruci podczas wieczery u nas, tak samo jak wszyscy przy stole. Ale tym, których wybierzesz, podam antidotum.

– A więc Forzowie umrą, a Dati zostaną oskarżeni. Piękny plan. –

Podumał przez chwilę, po czym stwierdził: – Moje życie byłoby w twoich rękach.

– A moje w waszych. Zażyję podwójną dawkę, panie. Podwójną dawkę dla twojej podwójnej pewności.

Znowu pomyślał, lecz tym razem krótko, i wybuchnął nagłym śmiechem bez odrobiny wesołości.

– Tak uczynimy.

I tak też się stało – chociaż niezupełnie w sposób, który opisałem hrabiemu. Uczta była przednia, bawiliśmy się długo i hucznie. Obie rodziny zasiadły do stołu w komplecie. Wszyscy pokładali się ze śmiechu z moich żartów i wygłupów.

Kiedy brzuchy były pełne, wymieniono ostatnie pocałunki i przysięgi dozgonnej przyjaźni, drzwi zostały zamknięte za odchodzącymi gośćmi, a okiennice dokładnie zabezpieczone. Cała wesołość pierzchła. Pobiegliśmy przeczyścić żołądki.

Nikt z naszego domu nie potrzebował przeczyszczenia; nikt nie został otruty. Planowałem usunąć naszych wrogów za sprawą ciemnych mocy. Ale dla mojego bezpieczeństwa wszyscy musieli wierzyć, że użyłem trucizny. Nie miałem zamiaru dać się spalić na stosie. Hrabia był gotów chronić mordercę, ale nawet on nie obroniłby adepta czarnej magii.

Sumiennie dopilnowałem, by wszyscy poczuli, że im niedobrze, mdli ich, muszą zwymiotować, wypluć soczyste mięsiwa, wyborne wina, owoce, słodczyce i sosy. Kiedy opróżniliśmy żołądki, osobiście podałem wszystkim obrzydliwą w smaku miksturę, która miała być antidotum, i patrzyłem, z jaką ochotą ją połykają. Ich grymasy stanowiły prześmieszne widowisko, wynagrodziły mi drobne przykrości, jakie musiałem razem z nimi znieść. Służba nie została poinformowana o spisku. Jak zwykle podkradali co lepsze kąski z półmisków i objadali się tym, co zostało, więc następnego dnia specjalnie doprawiłem ich posiłki moim antidotum, i to w obecności Andrei.

Nazajutrz miasto nie rozmawiało o niczym innym oprócz przyjaźni między naszym domem a rodziną Forzów. Dwa dni później, kiedy odnaleziono ich w palazzo martwych, z wydętymi brzuchami i spuchniętymi językami sterczącymi z ust, wszyscy paplali o zdradzieckich Datich.

Mój pan głośno żądał sprawiedliwości i dopilnował, żeby wymierzono ją szybko i z pełną surowością. Zamówił wspaniałą pomnik dla

upamiętnienia swoich zamordowanych przyjaciół. W końcu sprawa Forzów była jego wielkim zwycięstwem. Dla mnie drugie użycie mocy zakończyło się triumfem. Ja, błazen hrabiego, zostałem jego zaufanym doradcą.

* * *

Przez ponad dwa lata nie musiałem robić prawie nic prócz zabawiania gości hrabiego i składania od czasu do czasu wizyt u jego przyjaciela. Wszyscy byli ze mnie zadowoleni. Nie musiałem uciekać się do mojej wyjątkowej wiedzy, co mnie cieszyło. Zostało mi tylko jedno zaklęcie i nie chciałem go używać przedwcześnie.

Życie stało się łatwe i przyjemne – do tego stopnia, że zacząłem się nudzić.

Z okazji trzeciej rocznicy ślubu Maddalena i jej mąż przyjechali z dłuższą wizytą do palazzo hrabiego. Przywieźli synka Leonarda. Było to zdrowe, żywe dziecko o urodzie ojca i charakterze matki. Malec od razu się do mnie przywiązał, ku zachwytowi matki i obrzydzeniu ojca, chociaż nawet Jacopo uśmiechał się, patrząc na nasze wspólne wygłupy – podejrzewam, że chciał raczej pokazać swoje równe białe zęby, niż wyrazić zadowolenie. Maddalena spodziewała się drugiego dziecka, a Jacopo przy każdej okazji odgrywał rolę przykładowego męża, będąc zawsze przy niej, szepcząc, trzymając za rękę, wpatrując się w nią czule w towarzystwie. Wydawali się razem szczęśliwi.

Zjawiała się w mojej komnacie w środku nocy. Obudziły mnie czyjeś kroki przy drzwiach, ale był to dźwięk tak nikły, że z początku pomyślałem, iż to

kot albo szczur otarł się przypadkiem o drzwi. Potem usłyszałem stukanie. Wzięłem broń i cicho zbliżyłem się do drzwi. Czekałem. Stukanie zaczęło się znowu, a potem ktoś szepnął moje imię.

Od razu rozpoznałem ten głos. Z zaskoczenia nie mogłem wykrztusić ani słowa. Przyszła do mnie w nocy, do mojej komnaty.

– Niccolo – znowu wyszeptała moje imię. – Niccolo, pomóż mi.

Otworzyłem drzwi, a ona wśliznęła się, jakby przed kimś uciekała. Padła na kolana ze szlochem. Postawiłem ją na nogi. Przytuliła się do mnie. Cofnąłem się i szybko zaryglowałem drzwi. Gdyby ktoś ją tu zobaczył, zginęlibyśmy oboje.

– Pani, czy coś wam grozi?

– To bestia! Potwór z piekieł!

– Mówicie o swoim mężu?

Ścisnęła moją dłoń.

– Jacopo to potwór. Poślubiłam potwora.

– Najpiękniejszy mężczyzna na mieście, a wy nazywacie go potworem? To ja jestem potworem, pani.

Schowała twarz na mojej piersi.

– Nie, Niccolo, ty jesteś dobry – łkała. – W środku jesteś dobry i miły.

Jego brzydota jest wewnątrz, nie można jej ujrzeć. Tylko najbliżsi o tym wiedzą, ale nie mogą nikomu powiedzieć, nikt by nie uwierzył. Nawet moja rodzina widzi tylko pozory.

– Co mam uczynić?

– Pomóż mi. Proszę, Niccolo, pomóż. On się nie zmieni. Bił mnie i boję się, co może zrobić naszemu synowi.

Na jej białych ramionach i twarzy nie było oznak przemocy.

– Pani, nie widzę żadnych śladów.

– Kiedy się okazało, że znowu będę miała dziecko, przestał, ale ciągle jest okrutny na wiele innych sposobów. Pomóż mi, Niccolo, błagam.

– Wasz ojciec i bracia nie mogą nic zrobić?

– Ojciec nie będzie chciał słuchać, a nie mogę powiedzieć braciom, co on mi robił. Wstydzę się. Matka mnie skarci, że nie jestem dobrą, pokorną żoną. Tylko tobie mogę ufać. Musisz mi pomóc. Zrobię wszystko, co zechcesz, tylko mi pomóż.

Byłem zaskoczony. Wiedziałem, że nawet magia nie mogła sprawić, by kobieta spojrzała na mnie łaskawym okiem, ale jestem przekonany, że mogłem tej nocy mieć Maddalenę, w moim własnym łóżku.

Nie uległem pokusie. Nawet radość przyprawienia rogów temu ważniakowi Jacopo nie była warta takiego ryzyka. A ja nikomu na świecie nie ufałem, nawet uroczej Maddaleni.

– Proszę wracać do siebie – powiedziałem – Pomogę. Potrzebuję trochę czasu.

– Jesteś aniołem. – Objęła mnie. – Moim wiernym aniołem.

Nie spałem tamtej nocy, rozmyślając nad jej słowami. Myśli miałem dalekie od anielskich. Jesteś dobry i miły.

W środku jesteś dobry. Chociaż sprawa wyglądała poważnie, niewinność Maddaleny była bez mała komiczna.

Pozbycie się Jacopo nie stanowiło problemu. Często bawiłem się myślą o jego śmierci. Wiedziałem, że muszę działać ostrożnie. Maddalena nie mogła mieć podstaw, by podejrzewać mnie o udział w jego śmierci. Sądzę, że nawet gdyby miała dowód, wahałaby się, czy mnie zdradzić, oskarżając raczej siebie o namawianie kogoś do zbrodni. Taką już miała naturę. Ale ta

niewinna i pobożna natura mogła zgubić nas oboje. Maddalena z czasem mogła zacząć żałować pochopnie wypowiedzianych słów. Mogła nawet wybaczyć mężowi i wyprzeć się swojej prośby. A gdyby tak podzieliła się z nim tą wiadomością?

Niebezpieczeństwo było takie samo, bez względu na to, czy zamierzałem spełnić obietnicę, czy ją zignorować, więc łatwo podjąłem decyzję.

Jacopo umrze, niebawem, i to z mojej ręki. Nie chciałem marnować ostatniego zaklęcia na tego psubrata. Sprawia mi to wielką przyjemność, a Maddaleni przyniesie ulgę.

Urodził im się chłopiec, śliczny jak pierwszy syn. Wszyscy tak twierdzili, a ja muszę przyjąć ich ocenę. Nie znam się na pięknie. Zobaczyłem Maddaleni jakiś miesiąc po porodzie, miała oczy osaczonej łani. Inni zdawali się tego nie widzieć.

Jacopo zginął podczas karnawału. Jego ciało znaleziono w wąskiej uliczce w pobliżu burdeli. Prawdopodobnie padł ofiarą jakiejś kłótni lub napadu. Jego twarz okaleczono z wyjątkowym bestialstwem.

Wszystko starannie zaplanowałem. W wieczór jego śmierci zabawiałem gości hrabiego na bankiecie, który ciągnął się do białego rana.

Wygłupiałem się, żartowałem, pilnując, żeby każdy gość był odurzony alkoholem i nieświadomy godziny, ale pewny, że cały czas jestem wśród biesiadników. Jacopo nie zabrał mi więcej niż kwadrans i nikt nie zauważył mojego wyjścia. Wszyscy goście zgodnie twierdzili, że tego wieczoru byłem szczególnie zabawny.

Nasze miasto niełatwo zaszokować, ale brutalność tego morderstwa była przez jakiś czas na ustach wszystkich. Mój pan już się o to zatroszczył. Kto mógł dopuścić się tak bezwzględnego ataku na bosko przystojnego

Jacopo, duszę towarzystwa, oddanego młodego męża i kochającego ojca dwóch wspaniałych synów? Stało się to przedmiotem wielu spekulacji i budziło powszechny niepokój. Hrabia Ridolfo głośno żądał dochodzenia, przysiągł, że odnajdzie mordercę swojego ukochanego zięcia. Nie udało mu się.

Mój pan uznał, że Maddalena dla własnego bezpieczeństwa i dla dobra synów powinna wrócić do rodzinnego domu. Rodzice Jacopo nie śmieli protestować, więc wkrótce była znowu z nami. Zostałem opiekunem i towarzyszem zabaw Leonarda i jego młodszego brata, i widywałem Maddalenę codziennie, ale nigdy nie wróciliśmy do naszej nocnej rozmowy.

Pewnego dnia mój pan wezwał mnie, żeby omówić sprawę wieczerzy, która miała zostać wydana na cześć pewnych dostojników z naszego miasta. Gdy ustaliliśmy szczegóły, zapytał:

– Jesteś zadowolony ze służby u mnie?

Było to zaskakujące pytanie w ustach hrabiego Ridolfo, który wszak nie przywiązywał wagi do zadowolenia innych. Ale nie wahałem się z odpowiedzią.

– Jestem bardzo zadowolony. Mam nadzieję, że mogłem się na coś przydać.

– Podejrzewam, że przydałeś się przy paru sprawach, o których nic nie wiem i nie chcę wiedzieć. – Zrobił pauzę, a ja milczałem. Po chwili ciągnął dalej: – Nie prosisz nigdy o pieniądze. Nie masz żadnych potrzeb, czy kradniesz to, co ci potrzebne?

– Służę wielkiej rodzinie. Dobrze jadam, wygodnie mieszkam i strojnie się ubieram. Żyję w wielkim palazzo i mam własną służbę. Wszyscy tu są dla

mnie hojnie, tak samo jak wasi przyjaciele w domach, w których goszczę. Czego więcej mógłbym chcieć?

– Takie zadowolenie to błogosławieństwo. Ale wierny sługa godzien jest nagrody. – Podsunął mi sakiewkę. – Bądź gotów, kiedy będę cię potrzebował.

Przez następne lata nie była mi potrzebna wiedza tajemna. W każdym momencie starałem się okazać warty zaufania i hojności hrabiego Ridolfo wyłącznie dzięki mojemu dowcipowi. Przyszedł jednak czas, kiedy spadła na niego seria ciężkich ciosów i bardzo potrzebował wiernego sługi. Jego najmłodszy syn Paolo został zabity w ulicznej bijatyce. Paolo był leniwy, głupi i pyszny, dostrzegał obrazę tam, gdzie jej nie było, i słono zapłacił za swoją dumę. W niespełna rok później dwóch starszych synów porwała lawina w czasie misji we Francji. Wszyscy synowie zginęli bezdzietnie. Hrabiemu pozostało tylko jedno dziecko, Maddalena, już nie ta beztraska dziewczyna, która poślubiła Jacopo. Miała teraz dwadzieścia dwa lata, była piękna jak bogini, ale nie wyszła powtórnie za mąż. Prześladowała ją śmierć tego obłudnika. Nie chciała pamiętać o jego okrucieństwie i przekonała samą siebie, że byli szczęśliwym małżeństwem. Nigdy się nie uśmiechała. Stała się pobożna jak matka, dewocją nawet ją przewyższała. Stopniowo hrabia Ridolfo zaczął coraz większe nadzieje pokładać we wnukach i coraz większym zaufaniem obdarzać mnie. Zostałem ich opiekunem i nauczycielem.

Powinienem być mieć się na baczności, kiedy Maddalena zaczęła prosić mnie o radę dotyczącą „naszych” dzieci. Pewnego dnia na osobności zwróciła się do mnie „Jacopo”, lecz zignorowałem to jako efekt nieuwagi czy przejęzyczenia. Ale gdy nocą przyszła do mojego pokoju, położyła się

do łóżka, nazwała swoim mężem i zaczęła kusić czułymi słówkami, zgłupiałem.

Byłem bezbronny. Moja siła, moja przebiegłość, moje ciemne moce – wszystko na nic. Nie wiedziałem, co robić. Moje życie było w jej rękach. Jeśli ją odtrącę, jak nedorzeczne oskarżenia wysunie przeciwko mnie? Wystarczy, żeby ujawniła naszą nocną rozmowę sprzed paru lat, a będę skończony. A jeśli przyjmę rolę, którą mi wyznaczyła, konsekwencje mogą być katastrofalne.

Ale była piękna, taka piękna. Oddała mi się z chęcią. A ciało – nawet zdeformowane ciało błazna – jest słabe.

Po tej nocy zjawiała się u mnie regularnie. W mojej komnacie nazywała mnie zawsze swoim Jacopo, chwaliła moją urodę i mówiła z czułością o latach naszego małżeńskiego szczęścia. Przy innych jednak traktowała mnie jak służącego.

Znała prawdę, ale sama przed sobą nie potrafiła przyznać się do winy. Jej umysł podzielił się na dwoje. Czasem była przekonana, że Jacopo żyje, a ona jest wierną i kochającą żoną, niewinną żadnych zbrodni. Ale czasem zdawała sobie sprawę, co się stało, jakby sama była świadkiem tego czynu. W noc, kiedy wyszeptała, że spodziewa się naszego trzeciego dziecka, wiedziałem, że ta maskarada musi się skończyć. Zaznałem miłości kobiety, szalonej, pięknej kobiety, która patrzyła na mnie, widząc swojego przystojnego męża, choć niegdyś pragnęła jego śmierci. Musiało się to skończyć.

Użyłem prostej trucizny w kielichu wina. Maddalenę odnaleziono na jej klęczniku. Twarz miała ukrytą w dłoniach jak ktoś pogrążony w medytacji czy modlitwie. Nie widać było śladów cierpienia. Oczy miała zamknięte,

jakby spokojnie spała, a na jej twarzy błąkał się lekki uśmiech. Zawsze była zbyt dobra, zbyt niewinna jak na ten świat. Odczuwałem pewną satysfakcję z faktu, że wprowadziłem ją łagodnie do nieba, gdzie ją przyjmą z otwartymi ramionami. Innych zdarzało mi się wysyłać w gorsze miejsce.

Ten ostatni cios załamał mego pana. Po śmierci synów hrabia Ridolfo stał się twardszy; śmierć Maddaleny go zdruzgotała. Stracił śmiałość wizji, zdecydowanie w działaniu, całą swą dumę, stał się z dnia na dzień starcem, strachliwym więźniem w świecie pełnym niebezpieczeństw. Nadal jest mi przydatny, a ja dobrze mu służę.

Od śmierci hrabiny, zmarłej niespełna rok po córce, jestem jego jedynym towarzyszem i doradcą, zawsze u jego boku, a towarzyszy nam dwóch jego wnuków, wyłącznych spadkobierców tego wielkiego domu. Leonardo świetnie się rozwija. Pod wieloma względami przypomina swojego ojca. Giorgio to słaby i chorowity, ale inteligentny, bardzo inteligentny chłopiec. Przeżyje. Nadal odgrywam dla nich rolę błazna, a od czasu do czasu proszą mnie, żebym zabawił mego pana i gości – bankiety hrabiego są tak samo wystawne jak niegdyś, chociaż rzadsze i nie dla wszystkich. Nawet teraz, złamany i zgnębiony, jest zbyt ważnym człowiekiem, żeby całkowicie wycofać się z życia i oddać smutkowi, zbyt dumnym, żeby okazywać uczucia.

Ma bogactwo, władzę i wpływy; doczekał się wnuków, nad którymi czuwam ja. Są bezpieczni w moich rękach.

Jeśli chodzi o mnie, nie mam wielu potrzeb, a hrabia jest hojny, bardzo hojny. Nie sprawia mi zawodu.

Nawet teraz jest potężnym opiekunem. Nie muszę obawiać się wrogów.

Wiem, że nikt na tym świecie nie może zabezpieczyć się w pełni przeciwko zdradzie, krzywdzie ani ręce zabójcy, ale wiem też, że człowiek, który zrobi mi coś złego, będzie ukarany w sposób, którego sobie nawet nie wyobraża. Na wszelki wypadek oszczędzam moje ostatnie zaklęcie.

Jak na razie jestem zadowolony. Nie martwię się o przyszłość. Któż zdoła przewidzieć, co się zdarzy?

Tylko błazen by śmiał.